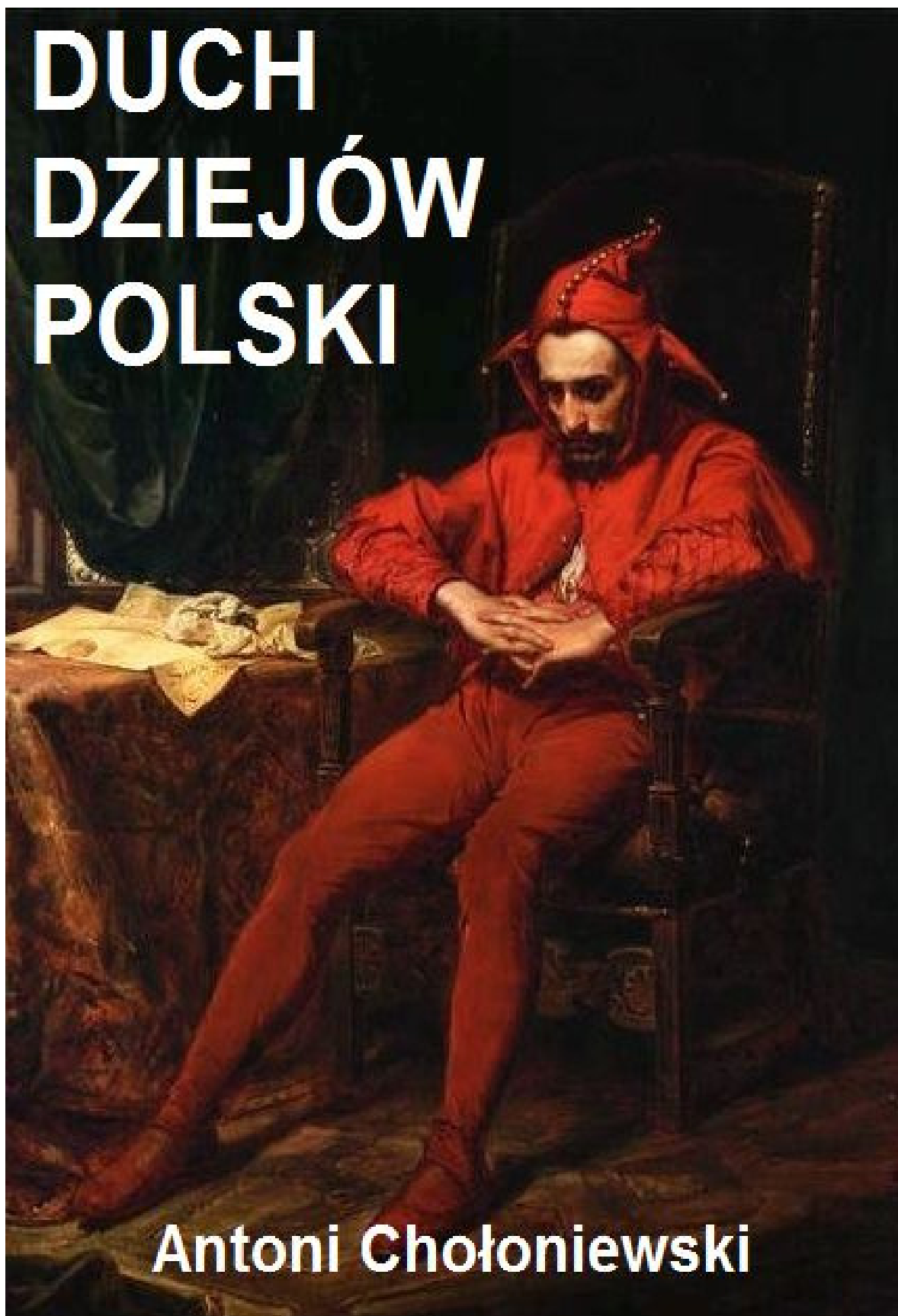


DUCH DZIEJÓW POLSKI



Antoni Choleńewski

DUCH DZIEJÓW POLSKI

Antoni Chołoniewski

Kraków 1917

ISBN 978-83-932575-5-3

Copyright © by Estymator Jacek Chołoniewski 2018

Spis Treści

ANTONI CHOŁONIEWSKI – AUTOR	... 3
OD AUTORA	... 6
WSTĘP	... 10
IDEA ŻYCIA ZBIOROWEGO	... 17
NARÓD I KRÓL	... 26
SZLACHTA POLSKA	... 31
UNIE	... 35
SWOBODY JEDNEJ WARSTWY	... 45
TOLERANCJA WYZNANIOWA	... 54
PRAWO I ŻYCIE	... 61
WOJNY POLSKIE	... 64
SZERZYCIELKA WOLNOŚCI	... 70
TYP BOHATERSK	... 79
WYPRZEDZENIE EUROPY	... 84
UPADEK PAŃSTWA	... 94
DUCH DZIEJÓW POLSKI NA TLE CHWILI DZISIEJSZEJ	... 99

ANTONI CHOŁONIEWSKI – AUTOR

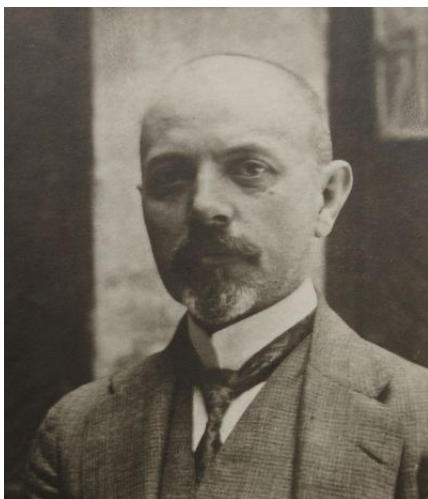
Antoni Chołoniewski urodził się w Kawsku pod Stryjem w roku 1872. Ojciec jego, Ferdynand, porucznik artylerii służący pod generałem Bemem, za udział w powstaniu węgierskim roku 1948 stracił majątek wskutek konfiskaty. Warunki finansowe rodziny nie były więc łatwe i może dlatego Antoni będąc jeszcze w gimnazjum zaczął pisać do gazet lwowskich korespondencje ze Stryja i Podkarpacia. „Studiował z zamiłowaniem historię ojczystą, natomiast czynne życie polityczne nie pociągało go, nie umiał poddać się programom i autorytetom partyjnym” – pisze o nim biograf. We lwowskim okresie życia, trwającym do r. 1903, należał do redakcji „Przeglądu Lwowskiego”, „Dziennika Polskiego” i „Słowa Polskiego”, z którego zresztą wystąpił wskutek nieprzychylnych Narodowej Demokracji opinii, jakim dawał wyraz w niektórych swych pracach pisanych pod pseudonimem Scriptor. W roku 1903 przeniósł się do Krakowa, gdzie w dwa lata później objął kierownictwo filii redakcji warszawskiego tygodnika „Świat”. Zbierając materiały do swoich artykułów odbywał liczne podróże, dzięki czemu miał okazję poznać Śląsk, Wielkopolskę i Pomorze. Od tego czasu stał się żarliwym propagatorem polskości na kresach zachodnich. W broszurze „Nad morzem polskim”, wydanej w roku 1912, kierował myśl polską ku rewindykacji Pomorza i nawoływał już wtedy do skierowania ruchu turystycznego z Polski nad polskie morze, był też pierwszym, który zwrócił uwagę na małą osadę rybacką, Gdynię, gdzie spędzał wakacje w latach 1912-14, a nawet przyczynił się do założenia tam pierwszego pensjonatu dla letników z Polski. Za żywotną kwestię życia społecznego uważał tworzenie za przykładem Wielkopolski polskiego stanu średniego i polskich przedsiębiorstw i warsztatów. W r. 1911 ukazała się we Lwowie jego praca pt. „Tadeusz Kościuszko”, poświęcona Naczelnikowi, który jak nikt inny rozumiał potrzebę uznania ludu za pełnoprawną część narodu.

Po wybuchu I wojny światowej, w latach 1914-16, redagował krakowskie pismo „Głos Narodu”. W zamieszczanych w nim artykułach demaskował wrogą Polsce politykę pruską, wskazywał na nieuchronność klęski państw centralnych, widząc przyszłość Polski w przymierzu z Francją i w uzyskaniu własnego brzegu morskiego. W roku 1917 wydał syntetyczny zarys historii Polski, „Duch Dziejów Polski”. Praca ta wzbudziła szerokie zainteresowanie i wywarł duże wrażenie nie tylko w Polsce, została wkrótce przetłumaczona na niemiecki, francuski, angielski, rumuński i bułgarski. Ze strony zawodowych historyków spotkały ją zarzuty o jednostronność i idealizowanie dawnej Polski. Chołoniewski odpowiedział na nic w przedmowie do II wydania, a także, obszerniej, w „Głosie Narodu” i w odblasku z r. 1919. pod tytułem „O kierownicze idee przeszłości”.

Poglądy Chołoniewskiego zaprezentowane w „Duchu dziejów Polski” kształtowały się pod wpływem takich historiografów, jak St. Kutrzeba. J. Siemieński. O Balzer, przede wszystkim jednak pozostawał on pod ogromnym urokiem Stefana Buszczyńskiego i jego „Obrony spotwarzzonego narodu”.

Odzyskanie niepodległości pobudziło Chołoniewskiego do jeszcze większego zaangażowania w sprawy narodu. Oddał się gorąco działalności propagandowej i publicystycznej, dążąc do uświadomienia ogółu o konieczności odzyskania morza i Gdańska. W pracy „Gdańsk i Pomorze” (1919) wyraził przekonanie, że sprawa Gdańska mimo podjętej już wówczas niekorzystnej dla Polski uchwały konferencji pokojowej nie jest ostatecznie przesądzona i że przyszłość rozstrzygnie ją na naszą korzyść. W roku 1919 przeniósł się do Sopotu, a następnie do Gdańska, aby tam pracować nad odbudowaniem polskości kresów zachodnich, jednak wskutek szykan ze strony Senatu Gdańska przeniósł się do Bydgoszczy, nadal pracując z całych sił dla polskości na Pomorzu – między innymi przyczynił się do powstania dwumiesięcznika naukowo-artystycznego „Biblioteka Pomorska” i do założenia Instytutu Narodowego w Wąbrzeźnie. Mimo choroby oddany pracy do ostatniej chwili, zmarł w Bydgoszczy 13 X 1924 roku.

Antoni Chołoniewski bezpieczeństwa Polski upatrywał w sojuszu z przyszłą unią tak zwanych małych i średnich narodów. Był za tworzeniem między Polską i Rosją państw buforowych oraz za daleko idącym spełnianiem kulturalnych postulatów Rusinów w Małopolsce Wschodniej. Za fundament Polski uważał jednak przede wszystkim nie sojusze, lecz siłę moralną.



Antoni Chołoniewski (1872-1924)

OD AUTORA

Ogłoszona niespełna przed rokiem praca niniejsza znalazła wśród polskich kół czytelniczych żywy oddźwięk – czego wyrazem między innymi, że stosunkowo znaczny nakład jej został wyczerpany w ciągu kilku miesięcy. Wywołała jednak także z paru stron zarzuty. Korzystając ze sposobności drugiego, rozszerzonego, wydania, pragnę na nie pokrótce odpowiedzieć, tym chętniej, że przez to uzupełni się niejeden rys, który dopiero w polemicznej formie może się wydobyć na jaw.

Odezwały się glosy, że w charakterystyce idei przewodnich naszej historii nie uwzględniono należycie stron ujemnych, że obok światła zabrakło „cieni”, co rzecz uczyniło jakoby jednostronną. Zarzut ten przy bliższym rozpatrzeniu nic da się utrzymać. Czytelnik bacznym znajdzie w pracy mojej niejednokrotnie zaznaczone owe plamy i zgrzyty, których obecność w dziejach musiała znaleźć odbicie i na kartach książki. Jest tam mowa o czasach „obłędu i występków politycznych”, o tym, że warstwy nieszlacheckie w Polsce przeżyły „okres istotnie ciężkiej i twardej niedoli”, że były „liczne wynaturzenia” naszego ustroju państwowego, że ogólnemu obrazowi wzrostu i upadku naszej ojczyzny odpowiada „nierówny poziom duchowej i moralnej wartości pokoleń”. To wszystko jednak istotnie zostało wypowiedziane skrótami myślowymi, jeśli kto chce – tylko pobieżnie. Dlaczego?

Miarodajnymi były tu dla autora dwa względy. Po pierwsze, ponieważ te wszystkie ciemne strony państwowego życia polskiego są dostatecznie i znakomicie znane polskiemu ogółowi, nie tylko wykształconemu. Trzem czwartym częściom naszego narodu od szeregu pokoleń szkoła moskiewska i pruska wpajała z pilnością nic nie zostawiającą do życzenia wszystkie saskie i nie saskie nasze upadki, wszystkie czarne i przeczernione fragmenty obrazu naszej przeszłości. Nic nazbyt w tyle pozostała w tej pracy również szkoła galicyjska. Przyczyniły do niej swą część wreszcie liczne podręczniki i liczni historycy, na których wszyscyśmy się kształcili; wszak to o jednym z najwybitniejszych z nich, i to właśnie tym, który przez długie lata kierował wychowaniem publicznym całej polskiej dzielnicy, mówi prof. Konopczyński: „wyrozumiały dla wszelkich wrogów polskości, a Nielitościwy” dla przeszłości własnego narodu. Zdawałoby się zatem chyba, że mówiąc do tak przygotowanego pokolenia, wystarczy, nie tracąc słów, zamarkować nasze „cienie” dziejowe choćby tylko w najlżejszy sposób, aby obraz ich wystąpił od razu z całą plastyką w umyśle czytelnika.

Ale był drugi wzgląd, istotniejszy.

Rzecz niniejsza nie jest wszak zarysem historii – jest próbą charakterystyki duszy dziejowej. Jedno i drugie określa piszącemu odmienne nieco obowiązki i prawa. Wychodząc z obranego założenia autor nie tylko nie potrzebował, ale nie mógł zajmować się tym, jakie sumy wypłacił był Ponińskiemu Stackelberg, a Branickiemu Katarzyna, ani zapuszczać się w las obskurantyzmu szlacheckiego za Sasów, ani zatrzymywać się szczegółowo przy zbrodniach popełnianych przez możnowładców, którzy świadomie działali na szkodę ojczyzny. Tak samo, chcąc scharakteryzować ducha dziejów Anglii, będziemy mówili wszak nie o rządach kurtyzan królewskich, o przekupstwie rozpowszechnionym od góry do dołu, o tym, że sprzedawali się nawet królowie, że Karol II (1660-1685) wziął pieniądze od obcego władcy za przyrzeczenie zmian we własnym kraju, że współdziałali w tych haniebnych machinacjach doradcy korony, albo że opozycja w parlamencie angielskim była stale kupowana przez pierwszego ministra Roberta Walpole (1721-1742), gdyż to wszystko nie było konieczną emanacją duszy narodu, było tylko przejawem powszechnego w całej Europie upadku moralności publicznej od schyłku wieku XVII do drugiej połowy XVIII w tym samym czasie, co i u nas – lecz mówić będziemy o kulturze wolności jednostki, o rządach parlamentu, o zasadzie, iż tylko ustawa uchwalona przez reprezentację społeczeństwa może społeczeństwo obowiązywać i o dążności do utrwalenia tej zasady, albowiem to właśnie jest wiekiustym w dziejach Anglii, to jest wykładnikiem, kwintesencją, treścią i cechą dziejowej duszy angielskiej.

W „Duchu dziejów Polski” jest mowa, podobnie, o istotnych i naczelnych cechach naszej przeszłości, i tylko o nich. Że Polska, której rozwój poszedł w kierunku wykształcania idei wolności politycznej, otoczona państwami zaborczymi, zbłądziła ciężko, zaniedbawszy wytworzyć w nowszych czasach, choćby kosztem zwężenia swobód wewnętrznych, rząd zdolny do obrony na zewnątrz, to prawda nic tylko oczywista, lecz tak znana, tak przetopiona już w komunał, że chyba nic wymagała specjalnego podkreślania w pracy, która nic jest podręcznikiem historii.

Obszerniejsze rozwodzenie się nad tą prawdą i nad wszystkimi cieniami, jakie się dokoła niej skupiły, nic było ani koniecznym, ani potrzebnym dla charakterystyki dziejowego ducha Polski. Dodajmy, że po usilnej pracy, jaką w tym kierunku wykonała już szkoła i historiografia ostatnich czasów, to pokutnicze wlepianie wzroku wstecz nic może być również uznane za szczególnie pilne zadanie wychowawcze. Przeciwnie, braki i grzechy przeszłości znamy na wylot. Natomiast co od dziesiątek lat było i jest u nas zastraszające, to nieświadomość wielkiej twórczości narodu przez długie wieki i utrwalające się na tym tle, w umysłach słabszych i mniej uodpornionych, ale bynajmniej nie tylko w umysłach prostaczków, poczucie bezgranicznej małości własnej i poddawanie się urokowi potęgi, która – na pewien okres dziejów – zatryumfowała nad nami. Tam: wszystko we wzorowym porządku, opromienione powodzeniem, w glorii sprostania

ogromnym zadaniom, zdrowe, jędrne, zdolne do przetrwania choćby do końca świata, gdy Polska – cóż? Rupieciarnia błędów, klęsk, heroicznych, lecz nieudolnych porywów i świadomie lub nieświadomie na swoją własną szkodę popełnianych zbrodni. Tej niesłychanej mistyfikacji usiłuje praca niniejsza przeciwdziałać przez zaakcentowanie naszych wielkich wartości dziejowych, zestawienie ich z ówczesnym stanem rzeczy gdzie indziej i wskazanie na ich renesansowy rozkwit w epoce, której próg zaledwie zdołała ludzkość przekroczyć.

Wyrażono jednak obawę, że to wywoła w czytelniku polskim „szkodliwą dumę”. Przy sposobności omawiania kart niniejszych znakomity badacz przeszłości podniósł trafnie, ile niewyczerpanej siły dodaje narodowi francuskiemu fakt, iż czuje się on „une grande nation” dzięki wspaniałym kartom swojej historii. Czy u nas inne rządzą prawa psychologiczne? Nie. Toteż fałszywe poczuwanie się do owej „Minderwertigkeit”, którą tak skwapliwie wmawiają w nas sąsiedzi z zachodu, może jedynie osłabiać naszą siłę odporna i twórczą, podczas gdy świadomość posiadania świetnej spuścizny dziejowej, świadomość, która zobowiązuje do utrzymania się na odziedziczonej wyżynie, musi się stać pomnożycielką naszej energii. Naturalnie, nawet ten wysoki cel nie uprawniałby do improwizowania rzeczy niebyłych. Na szczęście – kłamać nie potrzebujemy.

Historia, jak głosi stara maksyma, ma być nauczycielką życia. Rzecz szczególna, że u nas ostatnimi czasy to jej pedagogiczne zadanie zostało po prostu o połowę obcięte, aczkolwiek nauczycielka jest w pełni sił i mogłaby swoją robotę odrabiać w zupełności. Jednostronnie akcentuje się wciąż rzecz zresztą słuszną, że historia uczy unikać błędów. Lecz czy tylko to? Ta wychowawczyni może nam przecież dawać ponadto bardzo cenne wskazania pozytywne, a właśnie wiele naszych koncepcji dziejowych posiada tę zdolność w wybitnym stopniu. Wystarczy przypomnieć dla przykładu starą polską ideę łączenia narodów na podstawie ścisłego, lojalnego, nieobłudnego przestrzegania ich prawa do rozrządzania się sobą i nienarzucania im niczego wbrew ich woli. Z pomyślnych skutków praktycznego stosowania tej idei w Rzeczypospolitej mogliśmy byli wiele nauczyć się w tej części Polski, w której łaskawy los powierzył nam był po raz drugi – w miniaturze – rozwiązanie problemu współżycia narodów, a w której polityka małodusznych targów o mandaty, o szkoły, o „koncesje” językowe, dała po czterdziestu latach jako rezultat: rozpaloną do czerwoności wzajemną nienawiść. W chwili dzisiejszych wielkich przekształceń i narzuconej nam niestety z zewnątrz konieczności rewizji naszego stosunku do ludów, z którymi niegdyś żyliśmy pod jednym dachem państwowym, myśl polska sprzed czterech stuleci, która spajała równych z równymi, może się stać dla naszej polityki praktycznej nieoszacowanym dziedzictwem, pod warunkiem że w zmienionych formach potrafimy ją zastosować nie mniej uczciwie, niż czynili to pradziadowie nasi.

Ślepotą byłoby nie widzieć istotnych błędów i zboczeń naszej przeszłości Ale takim samym kalectwem jest patrzeć w jej świetne, nie tylko moralnie wzniosłe, lecz także mądre oblicze – i nie umieć z niego wyczytać żywotnych, płodnych i twórczych myśli, jakie tam wyrzył Geniusz Narodu.

Kraków, w kwietniu 1918

WSTĘP

Zdobyta przenikliwością natchnienia poetyckiego prawda, że Polska jest „wielką rzeczą”, zabrzmiała w uszach naszego pokolenia przed laty niewiele jak paradoks smutny i szyderczy. Nigdy mniejszą pozornie nic wydawała się Polska, jak właśnie w chwili wypowiedzenia tych słów. Od roku 1870, od ostatecznego utrwalenia się stosunków, w których tylko silnym, rozporządzającym opancerzoną pięścią, przyznano prawo bytu i głosu, straciła ona wszelkie znaczenie. Dla urzędowej i nieurzędowej Europy „sprawa polska” przestała istnieć: skurczyła się do rozmiarów lokalnego, powiatowego zatargu w łonie państw rozbiorowych. Stała się z nami, na widowni życia międzynarodowego, rzecz najstraszniejsza: przejście do porządku. Starsi spośród nas, którzy za lat młodości z bijącym sercem nadśluchiwali, co powie o nas w Senacie książę Ludwik Napoleon lub czy w Izbie Gmin odezwie się za nami lord Russel i jak przyjmie kanclerz rosyjski zbiorową interwencję za Polską połowy Europy, doczekali się chwili, w której pojawienie się nazwy Polski na ustach szanującego się dyplomaty byłoby uznane za objaw niepoczytalności. Ci, których młodość upływała, gdy Centralny Komitet Narodowy pertraktował o termin wybuchu z Młodą Europą, gdy Warszawa podziemna niecierpliwiła się zwlekaniem Mazziniego i nadmierną przezornością Hercena, dożyli dnia, w którym międzynarodowy romantyzm wolności ukorzył się przed rosnącą wszechwładzą państwa, a w pamięci ludów Europy zatarło się nawet samo wyobrażenie o Polsce.

Ostatnie światła pogasły. Zostaliśmy sam na sam z przemocą, która szła ku nam pijana zemstą za nieprzerwany stuletni bunt, i z przemocą, która zasiadłszy na katedrach uniwersyteckich, ustaliła według wszelkich reguł naukowego myślenia tezę, że jako naród mniej wartościowy powinniśmy rozplynać się w kulturze „wyższej”. Czegóż nie uczyniono, aby jeden i drugi punkt widzenia uzmysłować nam z całą dobitnością? Było wszystko: od tortury fizycznej do rafinowanych sposobów wymienienia polskiej duszy na inną, od zdziecziałych odruchów nienawiści do chłodnych aktów woli, cynicznie stosujących względem Polaków państwowy program wytępienia. Wyświecona ze wszystkich dziedzin publicznego życia Polska skurczyła się, jak ślimak w skorupie, w ciasnych granicach ogniska domowego i w wąskim kole zabiegów o chleb. Wydana na łaskę i niełaskę bezmiernej pychy zwycięzcy, obezwładniona i bezsilna, ujęta w potworną kuratelę gwałtu, smagana biczem prześladowań i upokorzeń, ścigana i szczwana jak osaczone zwierzę, zżyta z tym, że można się nad nią pastwić bezkarnie, stoczyła się w oczach pozostałej Europy tak nisko, że przestała budzić jakiekolwiek zainteresowanie. Nędza polskiego bytu, jeśli odgłosy jej dochodziły na zewnątrz, wywoływała już tylko uczucie przykrej nudy. Dłoń oprawcy odarła nas nawet z uroku, jaki towarzyszył niegdyś naszej niedoli. Ulotniło się gdzieś bez śladu mistyczne piękno polskiego męczeństwa.